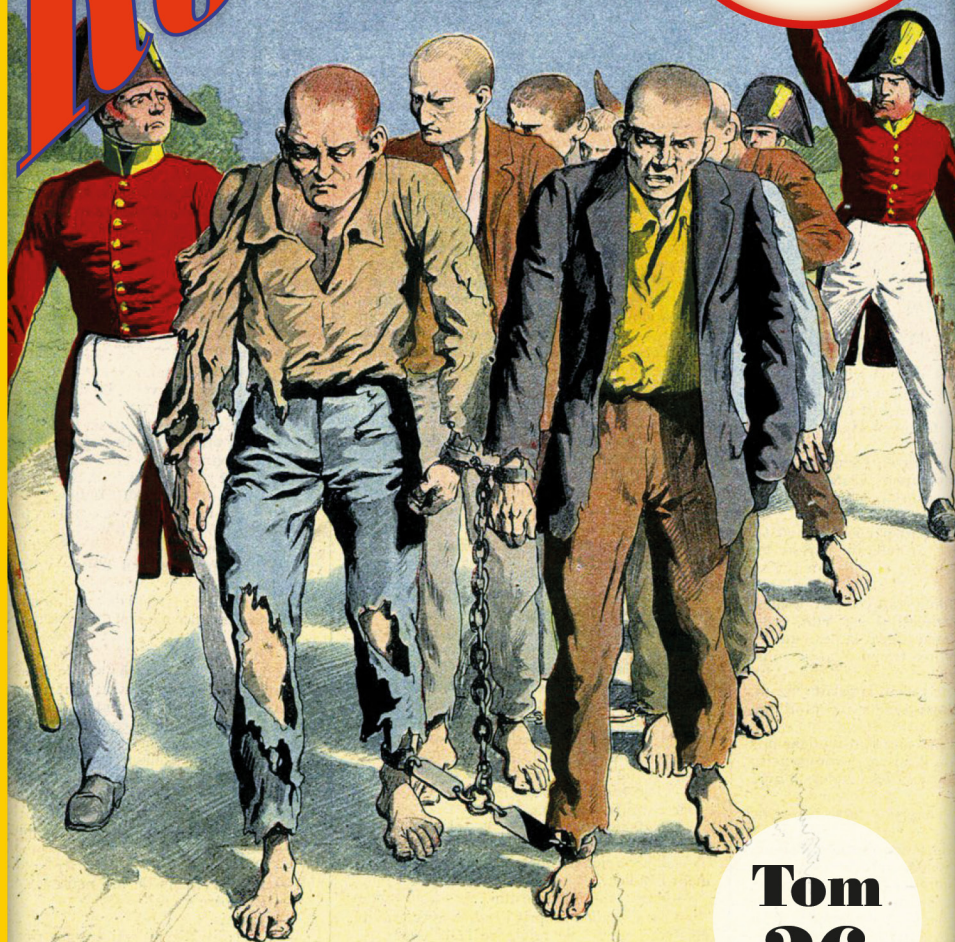


Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocambole

**SZNUR
WISIELCA**



**Tom
26**

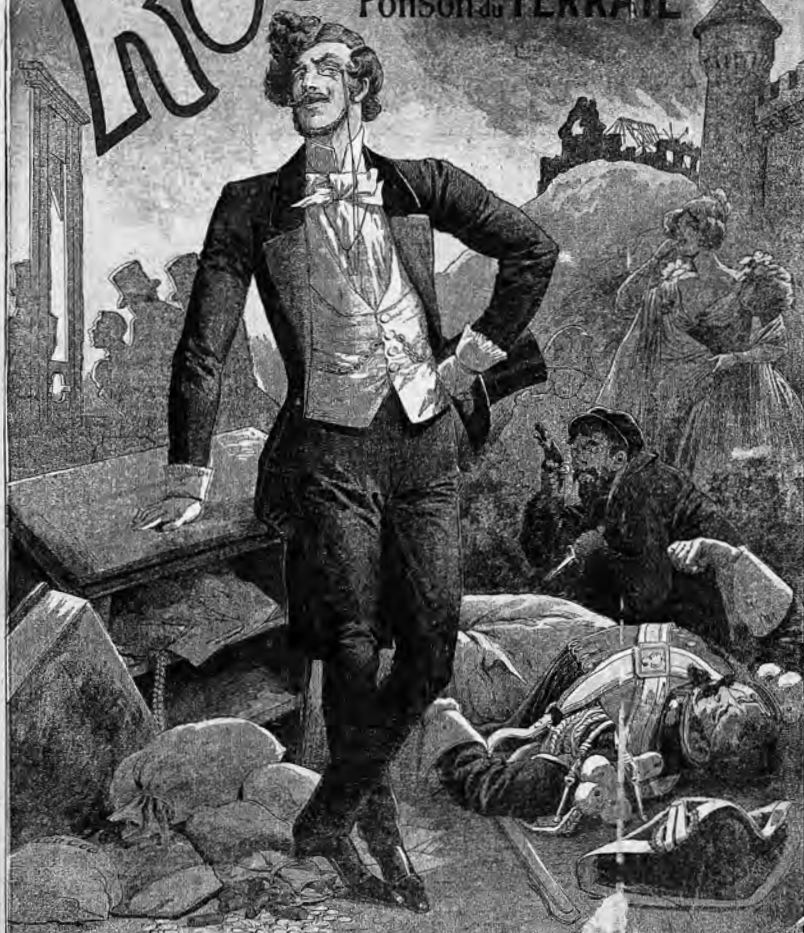


Ruda Śląska 2025
ISBN 978-83-66268-22-7 (kolekcja)
ISBN 978-83-67876-83-4 (tom 26)

LES DRAMES DE
PARIS

ROCAMBOLE

PAR
Ponson du TERRAIL



GRATUITEMENT

Ce Numéro doit être distribué

Roc. N° 1

Publications JULES ROUFF & C. 4, Rue de la Vrillière, PARIS (1^{re})

N° 1

Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Rocambole



Sznur wisielca



Pierre Alexis de Ponson du Terrail

Pierre Alexis
de Ponson
du Terrail

Rocambole

**Sznur
wisielca**



**Przełożył
i przypisami opatrzył
Andrzej Zydorczak**

Wydawnictwo
JAMAKASZ
Ruda Śląska 2025

*Sto sześćdziesiąta piąta
publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ*

*Dwudziesty szósty tom
kolekcji „Rocambole”*

Tytuł oryginału francuskiego: *La Corde du pendu*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2025

42 ilustracje, w tym 36 kart tablicowych kolorowych: Louis-Charles Bombled,
Paul Kauffmann, Désiré Quesnel (wg Wydawnictwo Jules Rouff, Paris 1894)

Redaktor kolekcji: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Maria Sarnowska

Koncepcja graficzna, projekt i skład: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2025

ISBN 978-83-66268-22-7 (całość kolekcji)

ISBN 978-83-67876-83-4 (tom 26)

Druk i oprawa: Totem.com.pl Sp. z o.o. Sp. Komandytowa
88-100 Inowrocław, ul. Jacewska 89



Wydawnictwo JAMAKASZ

www.jamakaszk.pl

e-mail: jamakaszk2013@gmail.com

tel.: 32 340 21 42, 531 094 758

Ruda Śląska 2025

*Sznur
wisielca*



Rozdział I



Zawalanie się podziemnego korytarza nie ustawało. Sklepienie sztolni odrywało się we fragmentach ogromnymi blokami. Ziemia wciąż ryczała i drżała. Można by rzec, że to jedno z tych trzęsień ziemi, które wstrząsają miastami Nowego Świata.

Wanda padła na kolana i modliła się.

Pauline, zawieszona na szyi Polyte'a, mówiła:

– Przynajmniej umrzemy razem!

Milon wył z wściekłości, wymachując wielkimi pięściami i powtarzając:

– Ach! Co za łajdacy z tych fenian! Do niczego! Kanalie!

Marmouset spojrzał na swojego mistrza. Mistrz był spokojny, stał wyprostowany. Wydawał się oczekiwać końca tego kataklizmu ze spokojem człowieka, który wie, że jest ponad śmiercią.

W końcu drżenie ustąpiło. Hałas nagle ustał, a głazy przestały spadać.

– Naprzód! – powiedział Rocambole.

Wanda wstała, jej oczy zapłonęły.

– Ach! – powiedziała. – Jesteśmy uratowani!

– Jeszcze nie – odpowiedział. – Ale idźmy dalej.

Podziemne przejście było zablokowane przez ogromne głazy. Jednak Rocambole, uzbrojony w kilof, jako pierwszy przedarł się przez rumowisko. Jego towarzysze, uspokojeni, podążyli za nim. Tak przeszli sto kroków.

Nagle Rocambole zatrzymał się. Na środku galerii jego uwagę przykuł wielki przedmiot. Tym przedmiotem była beczka, pełna prochu strzelniczego. Łatwo było dostrzec po siarkowym knocie wystającym pół stopy poza korek.

Co robiła tam beczka? Kto ją przyniósł? Czy fenianie również wiedzieli o tym przejściu?

Marmouset także się zbliżył. Podobnie jak mistrz, wpatrywał się w beczkę ze zdumieniem i zdawał się zadawać sobie te same pytania.

Wanda i pozostali znajdowali się w pewnej odległości.

W końcu Rocambole powiedział:

– To niemożliwe, żeby fenianie przynieśli ją tutaj.

– Jak myślisz, mistrzu, co to jest? – zapytał Marmouset.

Rocambole chodził w kółko obok beczki. W końcu na jego czole zniknęły zmarszczki, a na usta powrócił uśmiech.

– Moje dzieci – powiedział – nie urodziliśmy się nawet w dniu, w którym przytransportowano tu tę beczkę.

– Doprawdy! – mruknął Marmouset.

– Ten proch ma ze dwieście lat – kontynuował Rocambole.

– Czy to możliwe?

– Spójrz na beczkę i zbadaj ją. Drewno jest przeżarte przez robaki i kruszy się pod palcami.

– To prawda – potwierdził Marmouset.

– Nie dotykaj lontu – powiedział mistrz – bo jest tak suchy, że zamieni się w pył.

– Ach – powiedział Polyte, który nie zgłębił zbytnio tematu – myślę, że to proch i nie jest paskudny.

– Tak sądzisz?

Rocambole spojrzał z uśmiechem na dziecko Paryża.

– Do licha! – rzekł Polyte. – Tak stary proch musi być zwietrzały.

– Mylisz się.

– Och!

– Jest dziesięć razy bardziej wybuchowy niż nowy proch.

– Do diabła! W takim razie musimy uważać.

– Na co?

– Żeby go nie podpalić.

– Dlaczego?

– Ależ, do kata! Po tym, co nam się właśnie przydarzyło!

– Zostawmy ten proch i idźmy dalej – powiedział Rocambole i ruszył dalej swoją drogą.

Podziemia cały czas schodziły w dół, a ziemia stawała się mokra pod stopami. To był dowód na to, że byli coraz bliżej Tamizy.

Nagle Rocambole znowu się zatrzymał.



– Ten proch ma ze dwieście lat – kontynuował Rocambole.

– Ach! – powiedział. – Tego właśnie się obawiałem.

Podziemne przejście było zamknięte blokiem skalnym, który ode-
rwał się od sklepienia i pełnił teraz rolę drzwi.

– Jesteśmy więźniami! – szepnęła Wanda, a jej strach powrócił.

Rocambole nie odpowiedział. Widział, że jego ostatnia nadzieja
gaśnie.

Droga była zablokowana. Powrót był również niemożliwy. Co wię-
cej, oznaczałoby to wpadnięcie w ręce policjantów, którzy, być może
za kilka minut, gdy minie początkowe zdumienie, wtargną do pod-
ziemnych przejść, które nagle odkryją, a o których obecne pokolenie
nie wiedziało.

– Dalej! – powiedział Rocambole po chwili ciszy. – Musimy zwy-
ciżyć albo zginąć.

– Jestem bardzo silny – powiedział Milon – ale nie będę tym, któ-
ry dałby radę przesunąć tę skałę.

– Gdybyśmy mogli ją podważyć – powiedział Marmouset.

– Ale czym? Nie mamy odpowiednich narzędzi.

– To prawda.

– A poza tym to twarda skała...

– Ach! – rzekła znów Wanda. – Mam przeczucie, że tu zginiemy.

– Być może... – odparł Rocambole.

Pauline znów rzuciła się na szyję Polyte'a, a ten powiedział do niej:

– Nie płacz, jeszcze nie wszystko jest beznadziejne. Zobacz, jaki
ten człowiek jest spokojny...

Rzeczywiście, Rocambole był w tej chwili tak spokojny, jakby na-
dał znajdował się w salonie gubernatora w Newgate.

– Marmouset i ty, Milon – powiedział w końcu – posłuchajcie mnie
uważnie.

– Mów, mistrzu.

– Czy nie słyszycie głuchych odgłosów?

– Tak, słyszymy.

– To Tamiza, w niewielkiej odległości od nas.

– Dobrze! – powiedział Milon.

– Teraz zbadajcie sklepienie tej galerii. Jest wykute w litej skałe.

– Tak – powiedział Marmouset – i to jest lita skała, która unie-
możliwia nam pójście dalej.



– Poczekajcie – powiedział Rocambole. – Obaj często mieliście do czynienia z bronią palną.

– Ależ tak, do licha! – potwierdził Marmouset.

– Dobrze, podążajcie za moim rozumowaniem. Założmy dwie rzeczy: po pierwsze, że ta galeria jest bardzo blisko Tamizy.

– To pewne – rzekł Milon.

– Założmy znowu, że jest jak lufa strzelby.

– Dobrze – powiedział Marmouset.

– I że ta skała, którą mamy przed nami i która blokuje nam drogę, jest pociskiem.

– Co dalej? – powiedział Milon.

– Mamy proch – kontynuował Rocambole.

– Chcesz wysadzić skałę?

– Nie, ale wyrzucić ją do przodu.

– Ach!

– I wypędzać ją do końca galerii, gdzie napotka Tamizę.

– To wydaje się trudne – stwierdził Marmouset.

– A to dlaczego?

– Ponieważ proch nie będzie miał żadnego punktu oparcia, ponieważ nie napotka za sobą rury, a jedyne, co zyskamy, robiąc to, to spowodowanie kolejnego zawalenia się galerii, które tym razem nas pogrzebie.

– Marmouset ma rację – oświadczyła Wanda.

– On się myli – odrzekł zimno Rocambole.

Wtedy spojrzeli na siebie z niepokojem.

Ale on, zawsze spokojny i zimny, popatrzył na Marmouseta i rzekł:

– Brakuje ci siły oporu, prawda?

– Tak, siła oporu, jaką proch napotyka podczas wybuchu, i która pozwala mu rozprzestrzeniać się do przodu..

– No cóż, nie ma nic prostszego, by ją wytworzyć.

– Ach!

– Milon, ty i ja popchniemy beczkę przed siebie i oprzemy ją o skałę, oczywiście lontem z tyłu.

– A potem? – zapytał Marmouset.

– Potem przetoczymy wszystkie mniejsze bloki blokujące galerię, jeden po drugim.

– I zbudujemy coś w rodzaju ściany za beczką, prawda, mistrzu? – zapytał Milon.

– Dokładnie, i zrobimy tę ścianę sześć razy grubszą niż skała, którą musimy wypchnąć.

– Jak myślisz, ile czasu zajmie nam taka praca?

– Co najmniej sześć godzin.

– Ale – powiedziała Wanda – wcześniej, może nawet za godzinę, będziemy zgubieni!

– Dlaczego?

– Ponieważ policjanci i żołnierze wtargną do podziemnych tuneli. Rocambole wzruszył ramionami.

– Po pierwsze – powiedział – całkowite zawalenie się okrągłego pomieszczenia, które zostawiliśmy za sobą, chroni nas. Po drugie, pewnie pomyślą, że nie żyjemy.

– Sześć godzin to długo! – powiedział Milon.

Rocambole uśmiechnął się.

– Myślisz, że to długo?

– Do licha, tak!

– Cóż, założmy, że mur, który próbujemy zbudować, został wzniesiony.

– W porządku!

– Teraz musimy tylko podpalić proch.

– No i co?

– Musielibyśmy czekać kolejne siedem lub osiem godzin.

Patrzyli na niego i nikt nie wydawał się rozumieć.

– Huk, który słyszymy – powiedział – dowodzi, że jesteśmy blisko Tamizy.

– Zgoda – powiedział Milon.

– I jest czas przypływu, więc musimy poczekać, aż woda w Tamizie opadnie.

– Dlaczego?

– Ponieważ blok skalny, zamiast zostać popchnięty do przodu, napotkałby niezwykłą siłę oporu w kolumnie powietrza, którą rzeka uwięzi, dopóki nie zejdzie poniżej otworu podziemnego przejścia.

– To wszystko prawda – powiedział Marmouset – ale wciąż mam zastrzeżenia.



- Słucham.
- Jak podpalimy proch, gdy już uwięzimy beczkę między głazem a ścianą, którą zamierzamy zbudować?
- Za pomocą lontu, który przepuścimy między kamieniami.
- Będzie zbyt krótki.
- Przedłużymy go naszymi koszulami pociętymi w paski.
- Nie będzie wystarczająco długi dla tego, kto się poświęci...
- To nie twoja sprawa – powiedział Rocambole.
- Co? – rzekł Marmouset.
- Tylko jeden człowiek podłoży ogień, a tym człowiekiem będę ja!
- Kto? Ty! – wykrzyknęli Milon, Wanda i Marmouset.
- Ja – powtórzył spokojnie z wyniosłym uśmiechem na ustach. – Nazywacie mnie mistrzem. Kiedy rozkazuję, musicie słuchać...! Do roboty...!



Rozdział II



Mistrz rozkazał. Trzeba było posłuchać. Poza tym godzina niebezpieczeństwa była jeszcze odległa.

Marmouset powiedział na ucho Milonowi:

– Najpierw zbudujemy mur, a potem zobaczymy.

– Tak jest – potwierdził Milon.

Następnie wzięto się do roboty.

Oprócz Marmouseta, Milona, Wandy, Polyte’a i Pauline w podziemnym przejściu znajdowały się jeszcze trzy osoby.

Jedną z nich był marynarz William, którego kiedyś powalił *Szary Człowiek*.

Potem był *Śmierć Odważnym*, a na końcu rzeźnik Jean, którego w dawnych czasach nazywano Jeanem Katem.

Ci ludzie nie odważyliby się nawet zakwestionować rozkazów mistrza.

Rocambole dał im znak. Cała trójka wróciła po beczkę prochu. Milon poszedł za nimi.

Beczka była ciężka, ale pchana, ciągnięta i niesiona przez czterech mężczyzn, została wyrwana z miejsca, które zajmowała od dwustu lat.

Następnie umieszczono ją przy skale, na boku, z lontem z tyłu.

– Teraz do ściany! – powiedział Rocambole i spojrzał na zegarek.

Wszyscy mieli pochodnie.

– Trzeba je oszczędzać, jedna wystarczy! – powiedział Rocambole.

Wszyscy zdmuchnęli pochodnie, oprócz niego.

– Mistrz jest ostrożny – szepnął Milon.

– Bez wątpienia – odpowiedział Marmouset przyciszonym głosem. – Będziemy tu może siedem lub osiem godzin, a gdybyśmy palili wszystkie pochodnie naraz, ryzykowalibyśmy, że pozostaniemy w ciemności.

Zabrano się więc do pracy.

Bloki skalne były przynoszone jeden po drugim.

Za pomocą kilofa, w który był uzbrojony, Rocambole obrabiał je w razie potrzeby i pełnił rolę murarza.

Mur stopniowo się wznosił.

Gdy znajdował się dwie stopy nad ziemią, ostrożnie wzięto lont i wydłużono go, dodając pociętą na cienkie paski koszulę Milona.

Następnie przepchnięto go przez ścianę na zewnątrz.

Za pomocą kilofa Rocambole odłamywał małe kawałki skał i umieszczał je wokół lontu, aby stworzyć coś w rodzaju armatniej lufy. Gdy lont został zabezpieczony w ten sposób, kontynuowano budowę muru.

Wszyscy, mężczyźni i kobiety przynieśli swój własny kamień i mur wznosił się w górę. Cztery godziny później dosięgnął sklepienia.

Beczka z prochem była obecnie uwięziona między głazem a murem, który miał teraz dziesięć lub dwanaście stóp grubości.

Według obliczeń Rocambole'a musiała stawiać trzykrotnie większy opór niż skała.

Wtedy mistrz wyciągnął zegarek.

– Już czas? – zapytał Milon.

– Nie, jeszcze nie – odpowiedział Rocambole.

– Długo już pracujemy!

– Tylko cztery godziny.

– Ach!

– A pływ jeszcze się nie obniża!

Milon westchnął, a potem, po chwili milczenia zapytał:

– Ile czasu jeszcze potrzebujemy?

– Trzy godziny.

– No to policjanci mają czas, żeby przyjść.

– Miejmy nadzieję, że nie przyjdą – odparł spokojnie Rocambole i usiadł na głazie, który nie został wykorzystany.

Jego towarzysze otoczyli go.

– Teraz posłuchajcie mnie uważnie – powiedział.

Można było usłyszeć muchę latającą w podziemiach.

Rocambole kontynuował:

– Mocno wierzę w nasze uwolnienie. Jednak mogę się mylić w moich obliczeniach.

- Nie sędzę – powiedział Marmouset.
 - Ja też nie, ale trzeba wszystko założyć.
 - Dobrze! – mruknął Milon.
 - Jeśli nie uda nam się popchnąć skały do przodu, musimy spodziewać się kolejnego zawalenia się.
 - Wtedy wszyscy zostaniemy pogrzebani i zmiażdżeni? – zapytała Wanda.
 - Może tak, może nie – odparł.
- Potem Rocambole kontynuował z uśmiechem na twarzy:
- Kiedy nadejdzie czas, aby zapalić lont, wszyscy pójdziecie na drugi koniec podziemnego przejścia i zatrzymacie się dopiero w tym okrągłym pomieszczeniu, gdzie czekała na nas ta młoda dziewczyna.
- Wtedy wskazał na Pauline.
- A co z tobą, mistrzu?
 - Tu nie chodzi o mnie – odrzekł Rocambole. – Jak mówię, słuchajcie.
- Wypowiedział te słowa władcym tonem i wszyscy pochylili głowy.
- Jak nastąpi wybuch – kontynuował – wtedy wydarzy się jedna z dwóch rzeczy: albo skała zostanie gwałtownie pchnięta do przodu, jak kula armatnia...
- Albo wszyscy zostaniemy zmiażdżeni – powiedział Marmouset.
 - Nie wy, ale ja.
 - Mistrzu – powiedziała Wanda – właśnie tego nie chcemy.
 - Lecz ja tego właśnie chcę!
 - Ale jest jedna prosta rzecz – mruknął Milon.
 - Jaka?
 - Trzeba wylosować, kto podłoży ogień.
 - Pozornie masz rację – powiedział Rocambole.
 - Ach!
 - Ale w rzeczywistości się mylisz.
 - A to dlaczego? – zapytał Milon.
 - Ponieważ jeśli dojdzie do zawalenia, osoby znajdujące się w okrągłej salce nie będą mogły uciec.
 - A to znaczy?
 - To znaczy, że wpadną w ręce policjantów.



- Dobrze! Co dalej?
- A jeśli będę wśród nich, zostanę powieszony. Teraz, umierając dla samego umierania, wołałbym umrzeć tutaj.
- To było tak logiczne, że nikt nic nie odpowiedział.
- Z drugiej strony reszta z was – kontynuował Rocambole – nie jest ani oskarżona, ani winna. Nawet jeśli zostaniecie uwięzieni, zostaniecie zwolnieni.
- Kto wie? – powiedział Milon.
- Znam angielskie prawo – powiedział Rocambole – i jestem pewny tego, co mówię.
- Ejże! – zawołała Wanda. – Co nas obchodzi życie i wolność, jeśli umrzesz, mistrzu?
- Będziecie kontynuowali moją pracę – odparł zimno Rocambole. Milon źle zrozumiał te słowa.
- Ach, nie, coś takiego! – powiedział. – To wystarczy fenianom, tym lajdakom, którzy są powodem...
- Zamknij się! – rzekł Rocambole, wykonał władczy gest, a potem zwrócił się do Wandy: – Posłuchaj mnie dobrze.
- Mów, mistrzu!
- Gdyby hipoteza, którą właśnie wysunąłem, stała się rzeczywistością, gdybym został pochowany, a reszta z was najpierw uwięziona, a potem uwolniona, poszłabyś szukać panny Ellen.
- Czeka na nas na statku.
- Zgoda. Ale znalazłbyś ją, gdziekolwiek by była?
- Bez wątpienia. A potem co?
- Poszłobyście razem do Rotherhithe¹, po drugiej stronie Tamizy, bardzo blisko tunelu.
- Następnie? – dopytywała Wanda.
- Pójdziecie na Adam Street, wąską, ciemną uliczkę, i poszukacie domu z numerem 17.
- Dobrze! – odparła Wanda.
- Na trzecim piętrze tego domu mieszka stara kobieta, którą nazywają Betsy-Justice. Pokażesz jej to.

¹ *Rotherhithe* – dzielnica Londynu, w Wielkim Londynie, leżąca w gminie Southwark, 2,8 km od centrum Londynu; liczy ok. 13 tys. mieszkańców; znajduje się w niej muzeum poświęcone budowie tunelu pod Tamizą.

Wtedy Rocambole wziął mały srebrny medalik zawieszony na jedwabnej nitce na szyi.

- A potem? - zapytała znowu Wanda.
 - Potem Betsy-Justice da ci pewne papiery.
 - Mam przeczytać te papiery?
 - Tak, a one oznajmią ci, z kim ty i nasi towarzysze macie sprawę.
 - W porządku - powiedziała Wanda.
- Rocambole ponownie spojrzał na zegarek.
- Jaki dzisiaj mamy dzień miesiąca? - zapytał.
 - Czternastego - odpowiedział Marmouset.
- Mistrz wydawał się zastanawiać.
- Pomyliłem się - powiedział w końcu - dzisiaj odpływ nastąpi za

godzinę.

- Ach!
- Otwór na galerię powinien być już wolny.
- A więc nadszedł czas? - zapytała drżąca Wanda.
- Za dziesięć minut.

Milon rzucił się do kolan Rocambole'a.

- Mistrzu, w imię Boga, wysłuchaj mnie! - zawołał.
- Mów.
- Pozwól mi zostać z tobą.
- Zgoda - rzekł Rocambole.

Milon krzyknął z radości.

Wtedy mistrz wziął Wandę w ramiona i mocno ją przytulił; potem objął po kolei każdego ze swoich towarzyszy i powiedział:

- Oddalcie się!

Wszyscy posłuchali. Wanda obracała się przy każdym kroku, cały czas nasłuchując.

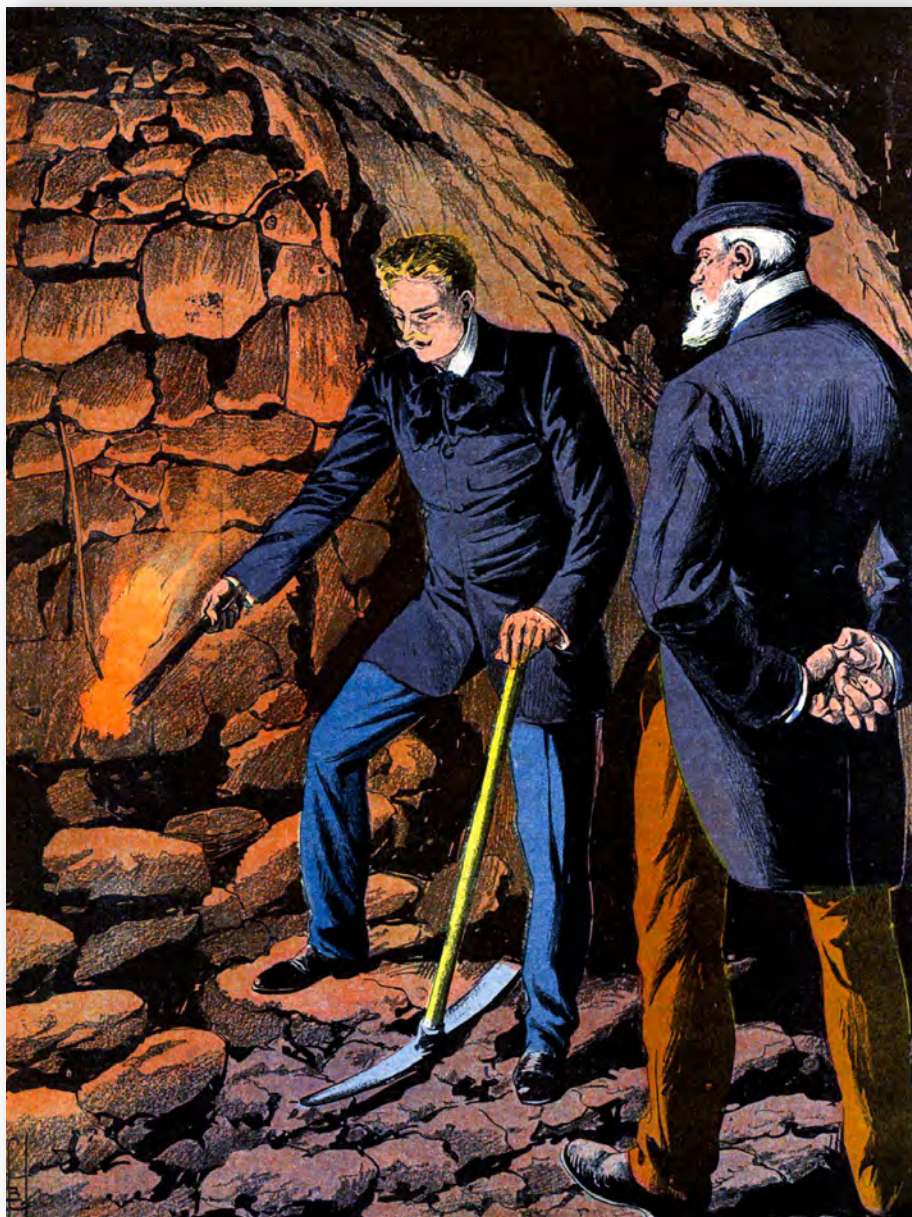
- Szybciej! - krzyknął Rocambole.
- Gdy zniknęli w oddali, spojrzał na Milona.
- Gotowy? - zapytał.
 - Zawsze - odpowiedział kolos.
 - Nie masz oporów przed odejściem do wieczności?
 - Z tobą - żadnych.
 - To dobrze. A więc ruszamy!



Rocambole przybliżył pochodnię do końca lontu i podpałił go. Następnie, z rękami złożonymi na piersi, czekał. Milon był równie niewzruszony jak on.

Lont płonął powoli, docierając do muru, który wciąż oddzielał go od beczki...





Rocambole przybliżył pochodnię do końca lontu i podpałił go.

Rozdział III



Wanda obracała się wiele razy i szła jako ostatnia, podczas gdy towarzysze Rocambole'a oddalili się od beczki z prochem i dochodzili do okrągłej salki.

– Szybciej! – krzyczał mistrz. – Szybciej!

Marmouset, który był na czele, przyspieszył kroku.

W ten sposób wszyscy dotarli do okrągłej salki.

Wtedy Marmouset powiedział do Wandy:

– Jesteśmy czterysta metrów od beczki, ale ponieważ korytarz biegnie w linii prostej, będziemy mogli zobaczyć eksplozję.

Jednocześnie przesunął za siebie pochodnię, którą trzymał w ręku.

Dzięki światłu z pochodni, którą trzymali, można było zobaczyć w oddali Rocambole'a i Milona. Mistrz i Milon stali bez ruchu, czekając na eksplozję.

Wanda cała się trzęsła. Nie ze strachu o siebie, bo udowodniła swój heroizm i pogardę dla życia, ale z powodu Rocambole'a, którego miłości się wyrzekła, a którego wciąż kochała.

Minęły dwie minuty.

– To bardzo długo! – stwierdził jeden.

– Nie, trzeba dać lontowi czas, aby się wypalił – odparł Marmouset, a potem dodał: – Połóżcie się na ziemi.

– Dlaczego? – zapytał *Śmierć Odważnym*.

– Ponieważ eksplozja za chwilę was tam położy, a jeśli będziecie czekać na ten moment, ryzykujecie złamanie nogi lub ręki.

Wszyscy posłuchali, z wyjątkiem Wandy.

– Chcę to zobaczyć! – zawołał.

Nie odrywała wzroku od Milona i Rocambole'a, którzy pojawili się w oddali w środku kręgu światła opisywanego przez pochodnię, niczym mikroskopijne istoty.

– Ejże! Dobrze, ja też – powiedział Marmouset i podobnie jak Wanda, pozostał w pozycji stojącej.

Nagle płonący lont zetknął się z beczką. Nigdy nie słyszano bardziej przerażającego grzmotu.

Wstrząs był tak silny, że Wanda i Marmouset upadli twarzami na ziemię, ale ich oczy pozostały otwarte. O, cudzie!

Zamiast pochodni trzymanej przez Rocambole'a, która nagle zgasła, na końcu podziemnego przejścia pojawiło się białe światło, okrągłe jak księżyc. W tym samym czasie beczka prochu odrzuciła ścianę do tyłu, a skałę do przodu.

Mistrz nie pomylił się w swoich obliczeniach. Galeria zadziałała jak armata. Światło błyszczące w oddali było światłem dziennym, światłem dziennym nad brzegiem Tamizy.

W tym samym momencie na ziemi pojawiły się dwa cienie. Byli to Milon i Rocambole, którzy, rzućni gwałtownie na ziemię przez wstrząs, podnosili się na nogi.

Do uszu Marmouseta i Wandy dotarł głos mistrza.

– Naprzód! – krzyknął. – Naprzód!

On i Milon pędzili w stronę plamce światła, to znaczy w kierunku otworu galerii. Pozostali towarzysze Marmouseta i Wandy również poderwali się na nogi.

– Naprzód! – powtórzył Marmouset i wszyscy zaczęli podążać śladami Rocambole'a i Milona.

Ale nagle rozległ się nowy hałas, a raczej trzask. Białe światło zniknęło...

Ziemia zatrzęsała się jak poprzednio, a Marmouset, który siedł pierwszy, zatrzymał się z potem na czole.

To zapadało się sklepienie galerii, a nowy blok skalny po raz drugi zamykał podziemne przejście.

Tym razem towarzyszy mistrza ogarnął nieopisany strach. Pochodnie zgasły, a ciemność ogarnęła Marmouseta, Wandę i tych, którzy podążali za nimi. Ziemia drżała pod ich stopami; głuche trzaski rozbrzmiewały w niewielkiej odległości.

– Jesteśmy zgubieni! – powiedziała Wanda.

– Kto wie? – odparł Marmouset.

Jego pochodnia zgasła, ale wciąż trzymał ją w dłoni.

– Najpierw musimy to zobaczyć – powiedział.

Wyciągnął z kieszeni krzesiwo i ponownie zapalił pochodnię.

Trzaski ustały, ziemia nie trzęsła się już pod ich stopami i wszystko ucichło.

– Naprzód! – rzucił Marmouset.

– Naprzód! – powtórzyła Wanda.

Polyte niósł w ramionach swoją drogą Pauline, która zemdląła z przerażenia.

Marmouset, z pochodnią w ręku, wciąż stał na czele małego oddziału.

W ten sposób dotarli do miejsca, w którym wybuchła beczka i przeszli nad gruzami prowizorycznego muru.

Można było zobaczyć ściany sztolni jakby wycięte przez tarcie skały.

– Jeszcze dalej! – rzucił Marmouset.

Ruszyli dalej. W końcu dotarli do miejsca, w którym nagle zniknęło dzienne światło.

Ogromna skała, jeszcze większa niż pierwsza, oderwała się od sklepienia i zamknęła galerię niczym ściana nie do przebycia.

Marmouset i Wanda spojrzeli na siebie. Patrzyli na siebie, bladzi, milczący, drżący. Na usta cisnęło im się to samo pytanie, ale żadne z nich nie odważyło się go zadać.

Co się stało z mistrzem? Czy został zmiażdżony? A może skała spadła za nim, oddzielając go od towarzyszy, ale dając mu czas na dotarcie do Tamizy?

W końcu Wanda wypowiedziała dwa słowa, jedyne słowa:

– Miejmy nadzieję!

– Miejmy nadzieję! – powtórzył Marmouset.

Potem spojrzeli na swoich towarzyszy, którzy wydawali się oszołomieni.

– Moi przyjaciele – powiedział w końcu Marmouset – nie możemy myśleć o pójściu dalej, bo jak widzicie, droga jest zablokowana.

– Cóż – powiedział Jean Kat – wróćmy, a jeśli policjanci nas spotkają, zobaczymy...

Wanda nie wymówiła ani słowa więcej. Była jakby zdruzgotana tą nową katastrofą i ogarnęły ją straszne wątpliwości. Czy Rocambole był żywy czy martwy?

Śmierć Odważnym powiedział z kolei:

– Nie ma co do tego wątpliwości, mistrz i Milon zdołali się uratować.



Marmouset nie odpowiedział.

Zawrócili i dotarli do okrągłej salki. Tam Marmouset zatrzymał się.

– Musimy naradzić się, co powinniśmy zrobić – powiedział.

Wskazał na galerię, którą kilka godzin wcześniej dotarli do podziemi Newgate.

– Wiemy, dokąd ona prowadzi – powiedział.

– Dziękuję bardzo – odrzekł marynarz William – więc chcecie pójść i oddać się w ręce policji?

– Nie ryzykujemy wiele.

– Najpierw ryzykujemy pójście do *mlyna*.

– Sam się uwolnię.

– Może ty, ale ja... który jestem Anglikiem?

Polyte postawił Pauline na ziemi. Młoda dziewczyna zaczynała dochodzić do siebie i pytała, co się stało.

Polyte ponownie zapalił swoją pochodnię od pochodni Marmouseta.

– Pójdę kawałek drogi przodem – powiedział i wszedł do galerii.

Nie przeszedł jednak pięćdziesięciu kroków, gdy zawrócił i dołączył do swoich towarzyszy.

– Nie ma potrzeby się przejmować – powiedział.

– Hę? – zapytał Marmouset.

– Nie mamy się czego obawiać ze strony policjantów.

– Co chcesz powiedzieć?

– W tej galerii było kolejne osuwisko i też jest zatarasowana.

– Ach!

– Co oznacza, że jesteśmy tu więźniami.

– Więźniami – rzekł *Śmierć Odważnym* – i skazanymi na śmierć głodową.

Marmouset wzruszył ramionami.

– Ba! – powiedział. – Nie warto byłoby mieć szczęśliwej gwiazdy, żeby jej nie ufać.

Wszyscy spojrzeli na niego.

– Oto kolejna galeria, której jeszcze nie zbadaliśmy – powiedział.

– To prawda – powiedziała Wanda.

– Kto wie, dokąd prowadzi?

– Zobaczymy...

Marmouset wszedł do trzeciej galerii. Ta, zamiast po równi pochylej, przeciwnie, stopniowo się wznosiła. Marmouset odwrócił się do swoich towarzyszy.

– Wkrótce znajdziemy się na poziomie gruntu – powiedział.

– Chodźmy dalej – rzekł *Śmierć Odważnym*.

Ale nagle Marmouset szybko zgasił pochodnię.

– Cisza! – rzucił cichym głosem, potem zatrzymał się i powiedział: – Nikt się nie rusza!

Pośród ciszy, która panowała w tych katakumbach, nagle do uszu Marmouseta dotarł hałas. Nie były to już głuche, odległe trzaski, ani ryk trzęsącej się ziemi. Był to szmer dwóch ludzkich głosów. Czy to byli policjanci? A może fenianie szukający człowieka, którego obiecali uratować?

Gdy Marmouset zadawał sobie to pytanie i zalecał ciszę swoim towarzyszom, w oddali rozbłysło światło. Potem pojawił się mężczyzna niosący latarnię.

Marmouset rozpoznał tego człowieka i zawołał:

– To Shoking! Jesteśmy uratowani!



Rozdział IV



Marmouset nie mylił się. To był na pewno Shoking. Anglik szedł z latarnią w rękę, ramię w ramię z mężczyzną, którego Marmouset również rozpoznał. Był to wódz fenian, który obiecał uratować *Szarego Człowieka*.

Marmouset, zwracając się do małego oddziału, który zatrzymał się tak jak on, powiedział:

– Możemy iść dalej. To przyjaciele.

Shoking wkrótce też ich zobaczył. Rozpoznając Marmouseta, wydał okrzyk radości i rzucił mu się w ramiona.

– Ach! – zawołał. – Szukaliśmy was przez długi czas.

– To prawda – dodał fenianin.

– I baliśmy się, że zostaliście pogrzebani – kontynuował Shoking. Jednocześnie szukał wzrokiem Rocambole’a, a kiedy go nie zobaczył, zawołał:

– Ale gdzie jest *Szary Człowiek*?

Marmouset pokręcił głową. Shoking wrzasnął ponownie.

– Nie żyje? – zapytał.

– Wciąż mamy nadzieję, że jest inaczej – wyszeptał Marmouset.

– Co masz na myśli? Jak to?

Shoking, kompletnie oszołomiony, spojrzał na Marmouseta.

W dwóch słowach Marmouset powiedział mu, co się stało. Wtedy na usta Shokinga powrócił uśmiech.

– Jestem spokojny – stwierdził.

A gdy Wanda, Marmouset i pozostali spojrzeli na niego, dodał:

– Byłem towarzyszem mistrza i tak długo, jak nie zobaczycie go martwego, jestem pewny, że wyjdzie z tego bez szwanku.

Pewność siebie Shokinga przekonała wszystkich z wyjątkiem Wandy, którą wstrząsały najbardziej złowieszcze przeczucia.

– Ale powiedz jak się tu dostałeś? – zapytał Marmouset.

– Szukaliśmy was – powiedział wódz fenian.

– Ach!
– Wyprzedziliście moje plany i gdyby doszło do nieszczęścia, moglibyście winić tylko siebie – dodał mężczyzna z typową brytyjską flegmą.

Marmouset wyprostował się z wyniosłą miną.

– Tak myślisz? – zapytał.

– Bez wątpienia – odparł fenianin, wciąż spokojny. – Gdybyście nie zwątpili w nasze słowo... nie działalibyscie...

– Ach! – rzekł Shoking, wtrącając się. – To nie jest ani czas, ani miejsce na kłótnie. Musimy się stąd wydostać, bo osuwiska mogą zacząć się od nowa.

– Ale którędy przyszliscie? – zapytał Marmouset.

– Trzecim wyjściem.

Shoking znał więc pozostałe.

A gdy Marmouset wykonał gest zaskoczenia, dobry Shoking dodał:

– Fenianie wiedzieli o podziemnych przejściach równie dobrze jak wy.

– Doprawdy!

– I planowali wysadzić część Newgate, gdybyście się tak nie pośpieszyli.

– Ale jaki był ich plan? – zapytał Marmouset.

– Powiem ci – odparł szef fenian. – Umieściliśmy sześć beczek prochu.

– Zgoda!

– Trzy w podziemnych tunelach, trzy pod samym murem więzienia.

– A potem?

– Podpaliliśmy te w podziemnych tunelach. Miały one zniszczyć niektóre domy przy Old Bailey.

– W jakim celu?

– W celu stworzenia takiego bałaganu, by po zawaleniu się muru Newgate można było uratować *Szarego Człowieka*. Tylko jedna z tych beczek wybuchła.

– A te, które stały pod więziennym murem?

– Kiedy dowiedzieliśmy się, że wy i *Szary Człowiek* jesteście w podziemiach, wyciągnęliśmy lonty.

– Ale wtedy Old Bailey się zawaliło?
– Nie.
– Jak to?
– Zawalił się tylko jeden dom przy Sermon Lane, a katastrofa była taka, że nie wiadomo jeszcze, co spowodowało to straszne osuwisko.

– Więc więzienie Newgate wciąż stoi?
– Tak, gubernator został uwolniony i powiadomiony o waszej ucieczce. Zeszliśmy do podziemnych tuneli, ale musieliśmy zawrócić.

– Dlaczego?
– Po pierwsze, ponieważ osuwiska się utrzymywały, a po drugie, ponieważ trasa, którą podążaliście, była zablokowana.

– Zgadza się – powiedział Marmouset, który pamiętał, że Polyte nie był w stanie iść dalej, a następnie dodał: – Ale w końcu wy przybyliście inną drogą?

– Oczywiście.
– Więc możemy się wydostać?
– Kiedy zechcecie – powiedział Shoking. – Chodźcie za mną.
Zawrócił i ruszył w drogę. Mała grupka podążyła za nim. Po kwadransie marszu znaleźli się u podnóża schodów.

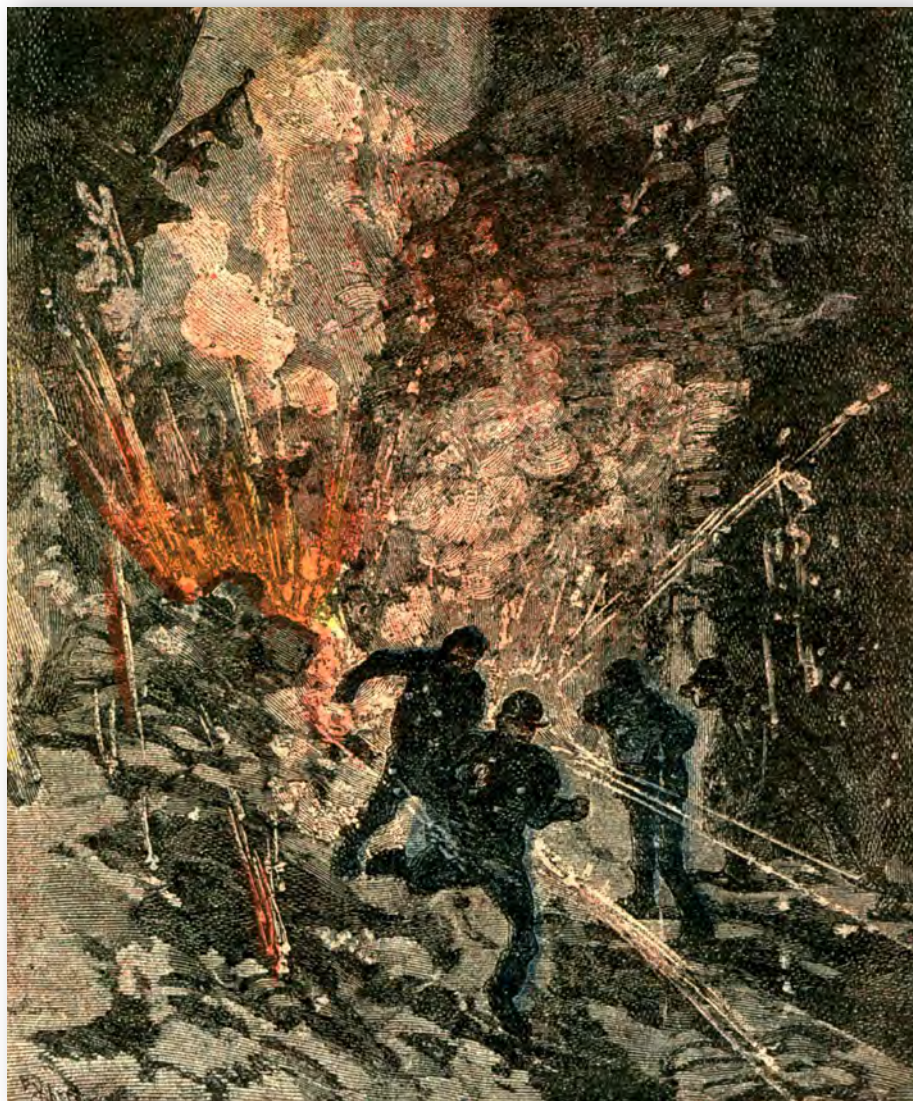
– Ach! – powiedział Marmouset. – Dokąd one prowadzą?
– Do piwnicy szynku.
– Prowadzonego przez jednego z naszych – dodał przywódca fenian.

– A gdzie znajduje się ten szynk?
– Przy Farringdon Street.
– Więc jesteśmy teraz po wschodniej stronie Newgate?
– Tak.

Shoking szedł pierwszy. Wanda zamykała pochód. Zdawała się zostawiać w podziemiach całą swoją duszę i od czasu do czasu, idąc, odwracała głowę i szeptała:

– Być może o tej porze jest zagrzebany, zakrwawiony i wciąż oddychający, pod jakimś odłamek skały.

Schody miały trzydzieści stopni. Na trzydziestym głową można było dotknąć klapy. Kiedy kłapa została podniesiona, Marmouset, który podążał za Shokingiem, znalazł się w dolnym pomieszczeniu szynku, a wszyscy podążyli za Marmousetem.



Tylko jedna z tych beczek wybuchła.

Okiennice od fasady były zamknięte. Był środek nocy. Właściciel odprawił swoich pomocników i był sam. On również szukał wzrokiem *Szarego Człowieka*, ale go nie dojrzał.

Marmouset powiedział do Shokinga:

– Więc to jest Farringdon Street?

– Tak.

– Powyżej czy poniżej Fleet Street?

– Poniżej.

– Więc jesteśmy bardzo blisko Tamizy?

– Z pewnością.

– Dobrze! W takim razie natychmiast należy wyruszyć na poszukiwanie mistrza.

– Będzie to tym łatwiejsze – powiedział Shoking – że mam łódź niedaleko Temple Bar.

– Chodźmy zatem – powiedział Marmouset.

– Pójdę z wami – powiedziała Wanda.

– I ja też...

– I ja też... – odezwali się wszyscy pozostali.

– Nie – powiedział Marmouset z władczym akcentem – reszta z was zostanie tutaj i poczeka na nasz powrót.

Pod nieobecność mistrza, zawsze słuchano Marmouseta.

Polyte nie był zirytowany brakiem udziału w tej nowej wyprawie, ponieważ Pauline była wyczerpana ze zmęczenia i emocji.

Tak więc Marmouset, Shoking i Wanda opuścili szynk i znaleźli się na szerokiej drodze, zwanej najpierw ulicą, a potem drogą Farringdon...

Noc była mglista, jednak promień księżyca zdołał przebić się przez mgłę. To wyjaśniało białe światło, które Marmouset i jego towarzysze widzieli chwilę po eksplozji, przez uwolniony otwór podziemnego przejścia.

Wanda i jej dwaj towarzysze zeszli na brzeg Tamizy. Była tam zacumowana łódź Shokinga. Weszli do niej, a Shoking chwycił za wiosła.

– Skoro fenianie wiedzieli o podziemnym przejściu – powiedział Marmouset – musisz wiedzieć, gdzie znajduje się otwór galerii prowadzącej do Tamizy?

– Popłyniemy prosto do niego.

– To daleko? – zapytała podekscytowana Wanda.

– Będziemy tam za dziesięć minut.

Shoking zaczął energicznie wiosłować.

W końcu łódź, która na chwilę wypłynęła na środek rzeki, stopniowo zbliżała się do brzegu, a Shoking, podnosząc wiosła, pozwolił jej dryfować. Łódź uderzyła w kępę zarośli.

– To tutaj – powiedział Shoking.

Marmouset, który miał bystre oczy, zbadał zarośla i nagle spojrzał na Wandę.

– To oczywiste – powiedział – że żaden człowiek tam nie przeszedł.

– Mój Boże!

– Mistrz i Milon nie wyszli z podziemnego przejścia.

– Ach! – powiedziała Wanda, szlochając. – Oni nie żyją...

Marmouset nie odpowiedział, ale rozsunał na bok zarośla, odsłonił szeroką szczelinę i zwinnie wyskoczył z łodzi.

– Zachowałeś latarnię? – zapytał Shokinga.

– Tak – odpowiedział Shoking – ale nie zapalimy jej, dopóki nie będziemy w środku.

Potem cała trójka weszła do podziemnego przejścia.

Shoking zabrał się za ponowne zapalenie latarni. Ale gdy tylko wątpliwe światło rozbłysło w podziemnym przejściu, Wanda i Marmouset wydali przeraźliwy okrzyk...



Rozdział V



Na podstawie tego okrzyku przerażenia, wydanego jednocześnie przez Wandę, Marmouseta i Shokinga, można by pomyśleć, że cała trójka znajduje się w obecności okaleczonych ciał Rocambole'a i Milona.

Tak jednak nie było. To, co ich przerażyło, to ogromna skała zamykająca wejście do galerii. Ale ta skała nie mogła być tą, którą Marmouset i jego towarzysze widzieli spadającą z okrągłej salki za Rocambole'em i Milonem. Była to inna skała.

Należało zatem założyć, że osuwisko, które rozpoczęło się za uciekinierami, kontynuowało przed nimi i że zostali zmiażdżeni.

Był jeden pewny sposób, by to udowodnić.

Marmouset, badając zarośla, był pewny, że ani Rocambole, ani Milon nie zdążyli wydostać się z galerii. Istniał jednak inny sposób sprawdzenia, który był o wiele bardziej wymowny.

Podczas przypiływu wody Tamizy wdzierały się do podziemnego korytarza na kilkaset kroków. Cofając się, naniósł rodzaj mułu, który z pewnością zachowałby ślady Milona i Rocambole'a. Jednak Marmouset, przesuwając latarnię wzdłuż ziemi, szukał i szukał, ale nic nie znalazł. Co więcej, skała oderwana od sklepienia była sucha, co dowodziło, że spadła po ustąpieniu wody.

Wanda, Marmouset i Shoking spojrzeli na siebie z niewypowiedzianym przerażeniem. Nie było wątpliwości: albo Rocambole i Milon zostali zmiażdżeni podczas ucieczki, albo zostali uwięzieni między dwoma głazami.

Ta ostatnia hipoteza była jedyną nadzieją, jaką Wanda jeszcze miała. Spojrzała na Marmouseta, załamała ręce w rozpacz i wyszeptwała:

– Co robić, co robić?

– Nie wiem – odpowiedział Marmouset.

Wtedy nagle doznał natchnienia. Podał latarnię Shokingowi, podszedł do głazu, prawie się na nim położył i oparł o niego ucho.

Wanda przyglądała mu się bez zrozumienia.



Jednak Marmouset, przesuwając latarnię wzdłuż ziemi, szukał i szukał, ale nic nie znalazł.

Marmouset słuchał... Słuchał, wiedząc, że niektóre rodzaje wapiennych skał mają niesamowitą przewodność dźwięków.

Przypominało to trochę sytuację, w której lekarz pochyla się nad człowiekiem, który wyzionął ducha, próbując wylapać ostatnie uderzenie serca.

Nagle twarz Marmouseta rozjaśniła się.

– Coś słyszę – powiedział.

– Co? – zapytała Wanda zduszonym głosem i rzuciła się w jego stronę.

– Odległy stłumiony dźwięk, jakby toczenie się kropli za kroplą ze źródła i ludzki głos.

Wanda przyłożyła a kolei ucho do skały.

– Ja też coś słyszę – powiedziała.

– Ach!

– I – dodała z gestem radości – to nie jest szum płynącej wody.

– Jesteś pewna?

– Tak, to ludzki głos. Czekał... czekaj...

Wanda wciąż nasłuchiwała.

– Tak – powtórzyła – to nie jeden głos, to dwa. Zbliżają się do siebie. Ach...!

Wanda wydała okrzyk radości.

– Co się dzieje? – zapytał Marmouset.

– To ich głosy, obu. Jeden czysty i dźwięczny, drugi głęboki i niski.

Wtedy Wanda zaczęła krzyczeć:

– Mistrzu! Mistrzu!

– Cisza! – nakazał Marmouset.

A gdy na niego spojrzała, powiedział:

– Pozwól mi wyjaśnić i nie krzycz niepotrzebnie.

– Niepotrzebnie?

Wanda, oszalała z radości, spojrzała na Marmouseta i zdawała się zastanawiać, czy on sam nie postradał zmysłów.

– Rzeczywiście – powiedział Marmouset – masz rację.

– Ach, to na pewno były głosy, które słyszeliśmy.

– Tak.

– A te głosy...

– To są ich głosy. Tak jak ty, rozpoznałem je.

- Więc dlaczego nie chcesz, żebyśmy ich zawołali... żeby wiedzieli...
 - Niczego się nie dowiedzą.
 - Ach! Dlaczego?
 - Nie usłyszą cię.
 - Ależ my słyszymy ich doskonale.
- Marmouset uśmiechnął się.
- To nie jest to samo – powiedział.
 - Dlaczego?
 - Ponieważ w podziemiach, między dwoma blokami skalnymi, jest dźwięk, który nie mógłby istnieć tutaj z powodu bliskości świeżego powietrza.
- Wyjaśnienie pozostało bez odpowiedzi, a Marmouset kontynuował:
- Hałas, który słyszymy, to dźwięk głosów; oni rozmawiają. Gdyby byli ranni, jęczeliby.
 - Zgadza się – powiedziała Wanda.
 - Więc są cali i zdrowi...
 - Tak, ale są więźniami i umrą z głodu.
 - Uwolnimy ich! – stwierdził zimno Marmouset.
 - Ale jak?
 - Och! – kontynuował młodzieniec – możesz być pewna, że nie wolno nam myśleć o użyciu prochu.
 - Oczywiście, że nie.
 - Nie powinniśmy też myśleć o podkopywaniu tej skały jakimikolwiek narzędziami.
 - Więc co powinniśmy zrobić?
 - Wyjdźmy stąd, wróćmy do łodzi, popłynemy Tamizą, a ja ci powiem.

Marmouset mówił tak spokojnie, że Wanda mu zaufała.

Jeśli chodzi o Shokinga, ponieważ rozmawiali po francusku, niewiele rozumiał. Wiedział tylko, że mistrz i Milon żyją, ponieważ slychać było ich rozmowę przez skałę.

Marmouset wrócił do łodzi, a Wanda podążyła za nim.

Shoking wziął wiosła, a Marmouset powiedział do niego po angielsku:

- Odpuść od brzegu i trzymaj w linii prostej z galerią.
- Aby to zrobić – rzekł Shoking – muszę najpierw popłynąć pod prąd.

- Zgoda – powiedział Marmouset.
- Następnie będę dryfował prostopadle do wylotu tunelu.
- Zgadza się – powiedział Marmouset.

Stojąc na rufie łodzi, utkwiał wzrok w lewym brzegu Tamizy.

Wanda patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

Łódź dotarła aż do mostu Czarnych Mnichów.

Potem Shoking pozwolił jej dryfować.

Marmouset nigdy nie stracił z oczu czarnych, zadymionych domów wzdłuż Tamizy w tym miejscu.

Nagle wydawał się wpatrywać się w jeden z nich.

- To jest tam! – powiedział.

- Co? – zapytała Wanda.

Ale zamiast odpowiedzieć Wandzie, Marmouset powiedział do Shokinga:

- Możesz wracać na brzeg.

- Ach! – powiedział Shoking i zanurzył wiosła w wodzie.

Pięć minut później Marmouset wyszedł na brzeg i wrócił na Farringdon Street.

- Ale dokąd zdążamy? – zapytała ponownie Wanda.

- Chodź, a zobaczysz.

Pierwsza ulica, która biegnie prostopadle do Farringdon, po opuszczeniu brzegów Tamizy, nazywa się Carl Street.

Thames Street jest jej kontynuacją ku wschodowi.

Marmouset szedł szybkim krokiem, a Wandzie trudno było za nim nadążyć. Zrobił kilka kroków w dół Carl Street i zatrzymał się przed domem, który był wyższy od pozostałych. To był ten, który zauważył ze środka Tamizy.

- Teraz – powiedział do Wandy – słuchaj uważnie.

- Mów.

- O ile się nie mylę w obliczeniach, ten dom znajduje się tuż nad podziemną galerią.

- Czyżby?

- I znajduje się między dwiema skałami, które więżą Rocambole'a i Milona.

- Więc?

- Poczekaj... – powiedział ponownie Marmouset.



Podszedł do drzwi tego domu i wciąż trzymając w dłoni latarnię Shokinga, zbadał je.

– Byłem pewny – powiedział w końcu.

– Pewny czego? – zapytała Wanda.

– Ten dom należy do wodza fenian o nazwisku Farlane. Patrzcie, jego nazwisko widnieje na drzwiach:

Farlane and C°.

– I on jest fenianinem?

– Tak.

Wanda spojrzała na Marmouseta wzrokiem, który oznaczał: „Jesteś czarodziejem?”.

Marmouset uśmiechnął się.

– Posłuchaj mnie – powiedział i zgasił latarnię Shokinga.



Rozdział VI



Wróćmy teraz do momentu, w którym nastąpiła eksplozja. Wstrząs był tak silny, że Rocambole i Milon, odrzuceni do tyłu, upadli twarzą w dół. Podnieśli się jednak niemal natychmiast.

– Zwycięstwo! – zawołał Rocambole. – Droga jest wolna.

Rzeczywiście, w oddali widać było skrawek nieba.

Odwrócił się w kierunku okrągłej salki, krzycząc:

– Za mną, za mną!

Po czym zaczął biec. Milon był tuż za nim.

Podążali tak przez około dwadzieścia kroków.

Nagle za nimi rozległ się straszliwy huk. Rocambole wrzasnął i odwrócił się. Właśnie nastąpiło pierwsze osuwisko, oddzielając go od towarzyszy. Ale Rocambole nie stracił głowy.

– Naprzód! – powtórzył, zwracając się do Milona. – Najpierw się wydostańmy. Gdy znajdziemy się na otwartej przestrzeni, znajdziemy sposób, by ich uwolnić.

– Naprzód! – powiedział Milon i kontynuował bieg przy mistrzu.

Nagle rozległ się kolejny hałas, jeszcze bardziej przerażający niż pierwszy. Tym razem światło, w kierunku którego biegli, zniknęło i ogarnęła ich ciemność.

Wstrząs był tak silny, że Rocambole i Milon ponownie upadli twarzą na glebę. Ziemia ryczała pod nimi. Gigantycznym osuwiskom towarzyszyły osuwiska częściowe. Kamienie spadały tu i tam, a jeden z nich prawie uderzył Rocambole’a w głowę. Ale mistrz nie został zmiażdżony.

Pośród ciemności rozległ się spanikowany głos Milona:

– Mistrzu! Mistrzu! – zawołał. – Gdzie jesteś?

– Tutaj – odpowiedział Rocambole.

– Jesteś ranny?

– Nie.

– Ja też nie.

– Nie ruszajmy się – powiedział Rocambole – i poczekajmy...
W końcu ogólne zawalenie się ustało; kamienie przestały spadać.
Wtedy Rocambole znów wstał i usłyszał, jak Milon mruczy:

– Wszystko jedno, mamy wielką szansę.

Rocambole nie upuścił pochodni, tyle że ona zgasła.

Ale Marmouset, rozdając pochodnie swojemu małemu oddziałowi, dał każdemu z nich pudełko z zapalkami świecowymi, a Rocambole miał swoje.

– Mistrzu – powiedział Milon – czy mogę już wstać?

– Tak, ale nie ruszaj się z miejsca. Poczekaj chwilę.

Rocambole poszukał zapalek i zapalił pochodnię. Milon był w stanie przekonać samego siebie, że jest cały i zdrowy.

– Mieliśmy trochę szczęścia! – stwierdził.

– Nie tak dużo, jak myślisz – powiedział Rocambole.

Z pochodnią w ręku podszedł do osuwiska. Podziemne przejście było ponownie zamknięte przez ogromny blok, który spadając, został zmiażdżony przez boki galerii i zamknął ją tak hermetycznie, jak mur zbudowany przez człowieka.

– Jak widzisz – powiedział Rocambole – nie jesteśmy dalej niż gozdzinę temu.

– Powróćmy zatem po naszych śladach – powiedział Milon.

Ruszyli w drugą stronę i wkrótce znaleźli się naprzeciw drugiego osuwiska, które miało miejsce za nimi.

– Widzisz – powiedział Rocambole – nie zaszliśmy daleko.

– Ale w takim razie jesteśmy więźniami? – zapytał drżący Milon.

– Nie, jesteśmy pogrzebani żywcem.

– I żadnych narzędzi, żadnego prochu! – wystękał Milon.

Rocambole był trochę blady, ale jego twarz nie straciła nic ze swojego zwykłego spokoju.

– Mój dobry przyjacielu – powiedział – zamiast użalać się nad sobą, powinniśmy pomyśleć na chłodno.

Milon spojrzał na niego.

– Nasza sytuacja nie jest wspaniała – kontynuował Rocambole – ale nie jest też rozpaczliwa.

– Tak myślisz? – rzekł Milon i spojrzał na mistrza wzrokiem pełnym nadziei.

– Posłuchaj mnie uważnie – kontynuował Rocambole. – Jest prawdopodobne, że Marmouset i inni nie zostaną pogrzebani.

– Zgoda, ale oni są, tak jak my, więźniami.

– Z szansą na uwolnienie.

– Przez kogo?

– Przez policjantów, którzy muszą mnie szukać.

– Dobrze! Jednak wtedy zabiorą ich do więzienia?

– Na początku. Ale to nie potrwa długo, i zostaną wypuszczeni.

– Na pewno?

– Jestem tego pewny.

– Więc co wtedy?

– Wtedy Marmouset, który, jak wiesz, jest zaradnym chłopcem, i Wanda, która oddałaby za mnie całą swoją krew, Marmouset i Wanda, jak mówię, pomyślą o nas i zadbają o to, by przyjść nam z pomocą.

– Zgoda – odparł Milon – ale do tej chwili minie jeszcze dużo czasu!

– Nie mówię, że nie.

– Może dwa dni...

– Albo nawet trzy – powiedział Rocambole.

– Mamy mnóstwo czasu, by umrzeć z głodu!

– Człowiek może wytrzymać cztery dni bez jedzenia – powiedział Rocambole i usiadł spokojnie na skalnym bloku.

Milon nie był tak spokojny jak jego pan. Chodził tam i z powrotem w podziemnym przejściu niczym dzika bestia niestrudzenie krążąca po klatce.

– Nie denerwuj się z góry – powiedział Rocambole. – Nie przypuszczam, żebyś był już głodny.

– Och, nie, ale chce mi się pić – powiedział Milon.

– Za cztery lub pięć godzin będziesz mógł pić.

– Jak to?

– Kiedy wróci przypływ, Tamiza znów zaleje galerię.

– Dobrze!

– I nie mielibyśmy szczęścia, gdybyśmy nie odkryli jakichś przecieków.

– Słonej wody...

– Ależ nie, słodkiej wody.

– Skoro jednak Tamiza podlega przypływom...



– To nie ma znaczenia. Morze odpycha rzekę, ale rzeka nie ma czasu się z nim zmieszać.

– Ach! – mówi Milon.

– Chodź i usiądź tutaj, obok mnie – kontynuował Rocambole.

Milon posłusznie usiadł.

– A ponieważ słowa nie mają koloru – dodał mistrz – nie widzę potrzeby, by bezużytecznie mieć zapaloną naszą pochodnię, która z pewnością przyda nam się później.

Wtedy Rocambole zgasił pochodnię. Następnie kontynuował:

– Wiesz, dlaczego nie rozpaczam?

– Och, ty, mistrzu – powiedział Milon – zawsze jesteś niewzruszony jak los.

– Nie o to chodzi – powiedział Rocambole.

– Więc o co?

– Myślę, że dopóki mam coś do zrobienia, Opatrzność będzie się mną opiekować i wyciągnie mnie z kłopotów.

– Naprawdę? – powiedział Milon. – Ale wtedy, mistrzu, nigdy nie odpoczniesz?

– Nie – powiedział Rocambole.

– Jednak wydaje mi się – powiedział Milon – że nadszedł czas, abyś wrócił do Paryża i żył tam w spokoju.

– Mam tu sprawy.

– Ach, tak. Zawsze fenianie.

– Nie.

– Słowo daję! – rzekł Milon. – Anglia nie jest dość atrakcyjnym krajem.

– To zależy – powiedział Rocambole. – Poza tym, powtarzam, mam tam nowy obowiązek do spełnienia.

– I nie ma żadnej kwestii tych łotrów fenian.

– W najmniejszym stopniu.

Milon nic nie odpowiedział. Zdawał się czekać, aż Rocambole się wytłumaczy. Mistrz milczał przez chwilę, a potem nagle zapytał:

– Wierzysz w sznur wisielca?

– Co przez to rozumiesz?

– Mówi się, że sznur wisielca przynosi szczęście.

– Tak mówią – odparł Milon – ale ja nie bardzo w to wierzę... a ty?

- Zobaczymy, czy nas stąd wyciągnie.
- Ech! - powiedział Milon. - Więc masz sznur wisielca?
- Tak.
- W swojej kieszeni?
- W mojej kieszeni.
- Więc zobaczymy, jak mówisz - odparł Milon znów czekał.
- A ponieważ mamy czas i nie jesteśmy na końcu naszej niewoli - zakończył Rocambole - opowiem ci pewną historię.
- Historię o sznurze?
- Historię o sznurze i wisielcu, który wyznaczył mnie na swojego wykonawcę testamentowego - odparł Rocambole.
- Mów, mistrzu, zamieniam się w słuch.



Rozdział VII



Po chwili Rocambole tak zaczął:

– Pamiętasz, jak zaczęła się nasza przyjaźń? Byliśmy towarzyszami od łańcucha. Pewnego dnia opowiedziałeś mi o tych dwóch sierotach, za miłość do których byłeś na galerach...

– Tak, tak – odpowiedział Milon – i odkąd uratowałeś moje biedne dzieci, jestem ci oddany jak wierny pies.

– No więc to samo przytrafiło mi się po raz drugi.

– Jak to?

– Tylko że nie było to na galerach w Tulonie, ale w więzieniu Newgate.

– Ach!

– I człowiek, z którym się zaprzyjaźniłem, nie żyje.

– Został powieszony?

– Niestety, tak.

Rocambole westchnął.

– Słuchaj – kontynuował mistrz. – Właśnie zostałem aresztowany i nie stawiałem żadnego oporu. Miałem ku temu powody, bo mogłem uciec jeszcze zanim bramy Newgate zamknęły się za mną. Nie poprowadzono mnie od razu do Newgate. Najpierw zabrano mnie do sądziego policyjnego na Drury Lane. Sędzia przesłuchiwał mnie formalnie i kazał umieścić w więzieniu, które służy jako depozyt i które znajduje się poniżej jego sali sądowej.

Każdego ranka pojazd więzienny sądy policyjne, zabierając więźniów aresztowanych w nocy i kierując ich do Newgate, Bath Square lub innego centralnego więzienia.

Spędziłem więc sześć godzin w lochu sądu policyjnego przy Drury Lane.

W tej samej celi znajdowała się obdarta kobieta, już stara, ale jej twarz zachowała ślady rzadkiej urody.

Kiedy wszedłem, spojrzała na mnie najpierw podejrzliwie, potem z zaciekawieniem. W końcu, gdy jej spojrzenie spotkało się z moim, bez wątpienia doświadczyła tajemniczego uroku, jaki moje spojrzenie wywiera na niektórych ludzi, ponieważ powiedziała do mnie:

„Myślę, że jest pan człowiekiem, którego szukam”.

A gdy spojrzałem na nią ze zdumieniem, zapytała:

„– Czy został pan aresztowany za poważne przestępstwo?

– Jestem fenianinem” – odpowiedziałem.

Zadrżała, a jej twarz rozjaśnił promień radości.

„– Ach – powiedziała – w takim razie jutro pójdziesz do Newgate.

– Bez wątpienia.

– A więc miałam rację, mówiąc, że jesteś człowiekiem, którego tak długo szukałam”.

Patrzyłem na nią, próbując odgadnąć znaczenie jej słów, a ona kontynuowała:

„– Nazywam się Betsy-Justice i jestem Szkotką.

– W porządku. Co dalej?

– Od miesiąca co wieczór jestem aresztowana za pijaństwo. Nie jestem tak pijana, jak mogłoby się wydawać...

– Zatem...?

– Ale udaję, że jestem. Zabierają mnie do sędziego policyjnego, zamykają do następnego dnia, a potem sędzia nakłada na mnie grzywnę w wysokości dwóch szylingów i wypuszcza mnie na wolność.

– Dlaczego więc – zapytałem – skoro nie jesteś pijana, udajesz, że jesteś?

– Żeby zostać aresztowaną, czasem w jednej dzielnicy, czasem w innej. Do tej pory byłam już na prawie każdym posterunku policji w Londynie.

– Ale dlaczego?

– Bo szukam człowieka, któremu mogę zaufać, człowieka, który pójdzie do Newgate.

– W czym ten człowiek może ci się przydać?”.

Spojrzała na mnie ponownie.

„– Wyglądasz uczciwie i dobrze – powiedziała. – Jak się nazywasz?”



– *Szary Człowiek*” – odpowiedziałem.
Krzyknęła, usłyszawszy na to nazwisko.
„– Ach! – powiedziała. – To ciebie nazywają *Szarym Człowiekiem*?
– Tak – powiedziała.
– I pozwoliłeś się aresztować?
– Tak.
– Ale wyjdiesz z więzienia, kiedy będziesz chciał?
– Być może...
– Och, na pewno – powiedziała. – Słyszałam o tobie, bo ty robisz to, co chcesz.
– Tymczasem – odparłem, uśmiechając się – pójdę do Newgate.
– Skoro jesteś *Szarym Człowiekiem* – kontynuowała – mogę ci wszystko powiedzieć.
– Mów...
– Mój mąż jest w więzieniu.
– W Newgate?
– Tak, i został skazany na powieszenie siódmego dnia następnego miesiąca.
– Jaką zbrodnię popełnił?
– Zabił lorda.
– W jakim celu?
– Ach – powiedziała Betsy-Justice – to byłaby zbyt długa historia do opowiedzenia. Nie mieliśmy czasu, ale skoro idziesz do Newgate, on ci wszystko powie.
– Niech tak będzie. Mam przekazać mu wiadomość?
– Tak.
– Więc ją daj.
– Och, to nie jest list. I tak zabraliby go w kancelarii. To wiadomość słowna.
– Powiedz.
– Znajdziesz sposób, by zobaczyć się z nim w Newgate, mój biedaku. Jest skazany na śmierć, ale codziennie spaceruje po dziedzińcu z innymi więźniami.
– Co mam mu powiedzieć?
– Powiesz mu: „Widziałem Betsy, twoją żonę. Umieraj w pokoju, ona ma papiery”.

– I to wszystko?

– To wszystko” – odparła Betsy i jednocześnie otarła łzę.

Ale bez względu na to, jak bardzo ją prosiłem, nie chciała powiedzieć mi nic więcej.

Następnego ranka, o świcie, zostałem zabrany i przewieziony do Newgate.

Przez trzy dni byłem przetrzymywany w odosobnieniu i nie mogłem zobaczyć skazanego.

W końcu reżim, któremu zostałem poddany, ustąpił miejsca łagodniejszym procedurom. Mieli nadzieję wydobyć ze mnie przyznanie się do winy.

Zasugerowałem, że jeśli potraktują mnie łagodnie, będę mówił. Od tego momentu robili prawie wszystko, czego chciałem i tak jak innym więźniom, pozwalano mi schodzić dwa razy dziennie na wewnętrzny plac.

Za pierwszym razem z nikim nie rozmawiałem, ale wypatrywałem skazańca. Spacerował samotnie w kacie, z głową pochyloną na pierś i rękoma uwięzionymi w kaftanie bezpieczeństwa.

Przyjrzałem mu się uważnie. Był to mężczyzna około sześćdziesiątki. Niski, krępy, z szerokimi ramionami i kwadratową głową wspartą na byczym karku – musiał być człowiekiem o herkulesowej sile. Jego broda była ruda, a włosy już siwe.

Przeszedłem obok niego, a on spojrzał na mnie.

Jego oczy wyraźnie kontrastowały z niemal odrażającym wyglądem jego osoby. Były przejryste, łagodne, lojalne.

Ten człowiek zabił, ale z pewnością nie zrobił tego, by coś ukraść.

Następnego dnia poszedłem na plac o tej samej porze. Skazaniec już tam był. Podeszedłem prosto do niego. Zatrzymał się nagle i spojrzał na mnie tym szczerym, niemal nieśmiałym wzrokiem, który mnie uderzył.

„– To ty zabiłeś lorda? – zapytałem.

– Tak”.

Odpowiedział tym jednym słowem z prostotą, która potwierdziła moją opinię. Spełnił, lub myślał, że spełnił, swój obowiązek.

„Czy ty nie jesteś mężem Betsy-Justice?” – zapytałem jeszcze.



Wzdrygnął się i spojrzał na mnie uważniej.

„– Zna ją pan? – rzekł po chwili.

– Tak, spędziłem z nią noc w więzieniu przy Drury Lane.

– Ach! – rzekł i spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Przekazała mi wiadomość dla ciebie.

– Doprawdy!”.

Jego spojrzenie wciąż było pełne podejrzliwości.

„– Widzę, że mnie nie znasz – powiedziałem.

– Kim więc jesteś?

– Nazywam się *Szary Człowiek*”.

Cofnął się o krok.

– Ty! ty! – powiedział.

Jego twarz straciła wyzywający wyraz i nagle się rozjaśniła.

„Tak – odparłem – jestem *Szarym Człowiekiem*, a Betsy kazała mi przekazać, że ma papiery”.

Wydał okrzyk najwyższej radości, krzyk, który mógłby sprawić, że pomyślałbyś, że przynoszę mu jego ułaskawienie..

„Ach! – powiedział, w końcu przezwyciężając emocje, które go ogarnęły. – Ach! Teraz mogę umrzeć w spokoju”.

Potem znów na mnie spojrzał i dodał:

„– Ale skoro jesteś *Szarym Człowiekiem*, to czy jesteś tu dlatego, że ci się to podoba?

– Być może.

– I zapewne wyjdiesz, kiedy zechcesz?

– Prawdopodobnie”.

Zawahał się przez chwilę.

„Ach! – powiedział w końcu. – Gdybym się odważył... bo to odważna kobieta, to prawda, ale to kobieta, moja biedna Betsy, i kto wie, czy będzie w stanie sama doprowadzić nasze dzieło do końca?”.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

„Będę musiał ci wszystko opowiedzieć. Jestem pewien, że zainteresuje cię nasza sprawa – ciągnął, po czym uśmiechnął się smutno i dodał: – Taki człowiek jak ty może wszystko... a poza tym zostawię ci mój sznur i on przyniesie ci szczęście”.

W tym momencie opowieści Rocambole przerwał na chwilę.
– Słowo daję – powiedział Milon – już nie myślę, że jesteśmy uwięzieni między dwiema skałami z połową Londynu na ramionach. Mów dalej, mistrzu...



Rozdział VIII



Rocambole kontynuował:
– Tego dnia skazaniec nie chciał więcej wyjaśniać.
– Historia, którą chcę ci opowiedzieć, jest zbyt długa – powiedział – i nadszedł czas, abym wrócił do celi. Ale jutro...

– Jutro znajdę sposób – odparłem – by spędzić z tobą kilka godzin”.
Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

„Faktycznie byłoby to niemożliwe dla kogokolwiek innego – powiedział w końcu – ale dla ciebie nie ma nic niemożliwego, skoro jesteś *Szarym Człowiekiem*”.

Potem wrócił do swojej celi, podczas gdy ja wróciłem do swojej.

Przyszł mi do głowy pewien pomysł. Gdy jeden ze strażników chciał mnie zamknąć, powiedziałem do niego:

„Proszę, powiedz gubernatorowi, że chcę z nim porozmawiać”.

Strażnik wywiązał się ze zlecenia i kwadrans później gubernator wszedł do mojej celi. Widziałeś tego człowieka i wiesz, jaki jest naiwny.

– Och, bardzo naiwny – powiedział Milon.

– Tak więc *sir* Robert przybył z uśmiechem na wargach i pieszczotliwym spojrzeniem, przekonany, że zamierzam mu coś wyjawić.

Nie wystarczyło bowiem, by Wolna Anglia schwyciła człowieka, który wydawał się być jednym z przywódców fenianizmu i bez wątpienia najniebezpieczniejszym ze wszystkich, trzeba było przeniknąć tajemnicę, którą ten człowiek się okrywał.

„– Panie gubernatorze – powiedziałem do *sir* Roberta – chciałbym z panem porozmawiać.

– Ach! – odrzekł wesoło. – Wiedziałem, że w końcu staniesz się rozsądny.

– Nigdy nie przestałem taki być.

– Ach, coś takiego!”.

W mojej celi były dwa krzesła; wziął jedno i usiadł obok mnie.

„– Słucham, mój drogi przyjacielu – powiedział – co masz mi do powiedzenia?

– Mój drogi panie gubernatorze, najpierw muszę zadać panu pytanie.

– Proszę pytać.

– Jeśli zostanę skazany na śmierć, czy zostanę powieszony?

– Obawiam się, że tak, przyjacielu. Szubienica to jedyna metoda egzekucji stosowana w Anglii.

– Dobrze! I myśli pan, że zostanę skazany?

– Chyba że przyznasz się do winy i zyskasz pobłażliwość sędziów.

– O tym właśnie marzę.

– Ach, wiedziałem!”.

Dobry człowiek wydał okrzyk radości.

„– Ale – kontynuowałem, uśmiechając się – najpierw muszę się upewnić co do pewnych rzeczy.

– Jakich?

– Powiem panu. Nie obawiam się śmierci.

– Jednak...

– Zwłaszcza śmierci przez uduszenie. Słyszałem nawet...

– Ach, tak – rzekł, mrugając okiem – wiem... popularne uprzedzenie... Ale nie bój się, mój przyjacielu, mój drogi przyjacielu. Trzeba zobaczyć twarz straceńca, gdy zdejmują mu czarną czapkę; jest spuchnięta, niebieskawa, okropna! A język...! Och, to przerażające!

– Naprawdę?

– Mam zaszczyt ci o tym powiedzieć, mój drogi przyjacielu. Uwierz mi i złóż wyjaśnienia.

– Czekaj pan – powiedziałem.

– Im bardziej spontaniczne będą twoje rewelacje – kontynuował – tym bardziej twój sędziowie...

– Wiem o tym, ale powtarzam, nie obawiam się śmierci przez uduszenie.

– Mylisz się.

– We Francji, gdzie mamy gilotynę, jest inaczej... Och, to śmierć, która mnie przeraża... Więc przyznałbym się od razu.

– Nie możemy zmienić dla ciebie zwyczajów – powiedział – ale mogę ci powiedzieć, że powieszenie to straszna rzecz.

– Ech!

– Słuchaj – ciągnął *sir* Robert M... – mamy tu w tej chwili człowieka skazanego na śmierć.

– Wiem o tym.

– Gdybyś tylko wiedział, jakie przerażenie przepełnia jego duszę!

– Ależ on wydawał mi się wystarczająco spokojny...

– Mylisz się... Gdybyś mógł spędzić z nim dwie lub trzy godziny twarzą w twarz!

– Myśli pan, że jego przerażenie by mnie przekonało?

– Jestem pewny, że tak.

– Naprawdę?

– A jeśli masz ochotę...

– Hej, hej, to mi wystarczy.

– Proszę – ciągnął *sir* Robert M... – zrobię dla ciebie coś niesłychanego...

– Ba!

– Ale przecież mam do tego prawo.

– Co więc?

– Zamierzam sprawić, byś tej nocy dzielił loch skazanego na śmierć.

– Ach, zrobiłby to pan?

– Oczywiście, że tak. I chcę, żebyś jutro w pośpiechu posłał po mnie.

– Po co?

– Aby ujawnić pewne fakty i skłonić sędziów do zmiany zdania.

– Cóż – odpowiedziałem – jeśli tego pan chce, nie widzę najmniejszego problemu”.

Podniósł się, bardzo uradowany.

„Wydam zatem odpowiednie rozkazy” – powiedział.

Uścisnął mi dłoń i ponownie nazwał mnie swoim drogim przyjaciелеm.

Potem wyszedł, nie podejrzewając, kochany człowiek, że spontanicznie zaoferował mi to, o co chciałem go poprosić.

Tego dnia, jak zwykle, przyniesiono mi obfity posiłek.

Wtedy strażnik, który mnie obsługiwał, mrugnął i powiedział do mnie:

„Słyszałem, że Wasza Wysokość jest *ekscentryczny*?”.

Ekscentryczny to słowo, które samo w sobie zawiera najwyższą pochwałę, jaką można obsypać Anglika czystej krwi.

„– He! He! – odpowiedziałem.

– Czy Wasza Wysokość ma ochotę przespać się ze skazanym na śmierć?

– Tak, mój przyjacielu.

– *Sir Robert M...*, nasz ukochany dyrektor – kontynuował strażnik – wydał mi rozkazy.

– Ach! Ach!

– I jeśli Wasza Wysokość pozwoli, poprowadzę pana”.

Kiwnąłem twierdząco głową, a strażnik, równie naiwny jak jego szef, zabrał mnie z celi na pierwszym piętrze na parter i otworzył przede mną drzwi lochu, w którym zamknięty był mąż Betsy-Justice.

Na ten hałas nieszcześnik wstał.

Położyłem palec na ustach, aby zalecić mu ciszę. Dał mi mały inteligentny znak, który dowodził, że zrozumiał. Co więcej, domyślił się, że zamierzamy dać mu towarzysza, ponieważ godzinę wcześniej wniesiono do lochu łóżko z rzemieni, materac i pościel.

Wkrótce znaleźliśmy się sami.

„Cóż – powiedziałem – widzisz, dotrzymałem słowa i mamy całą noc na rozmowę.

– Robisz co zechcesz – odpowiedział z naiwnym podziwem.

– A teraz – powiedziałam – opowiedz mi swoją historię”.

Jak możesz sobie wyobrazić, nie spaliśmy całą noc. Następnego dnia o świcie otworzyły się drzwi lochu. Przyszedł po mnie strażnik.

„*Sir Robert M...* czeka na pana” – powiedział.

Pomachałem na pożegnanie mojemu towarzyszowi.

– Ale co z historią, którą ci opowiedział, mistrzu? – przerwał Milon.

– Dowiesz się później. Najpierw porozmawiajmy o gubernatorze.

Wtedy Rocambole, po odpoczynku, kontynuował:

– Zabrali mnie więc do *sir Roberta*. Byłem błądy, jak to bywa po nieprzespanej nocy.

„– No dobrze! – powiedział, cały wesoły. – Nadal będziesz tak lekko traktował szubienicę?

– Ba! – odpowiedziałem. – Jeszcze się jej nie boję.

– Czyżby?



- Mam honor panu to powiedzieć.
- Więc nie chcesz mówić?
- Jeszcze nie.

Gubernator zagryzł wargi, ale się nie rozgniewał.

- Och - powiedział - nawrócę cię, zobaczysz.
- Znowu każesz mi spać w celi skazanego na śmierć?
- Zrobię lepiej...
- Ho! ho! I co takiego pan zrobi?
- Zmuszę cię do patrzenia, jak jest torturowany..."

Spojrzałem na niego zdumiony, a on dodał:

„- Miesiąc temu byłoby to trudne, jeśli nie niemożliwe...

- Ba!
- Ale teraz, gdy egzekucji dokonuje się wewnątrz więzienia...
- Usadowisz mnie w oknie na ten spektakl...?
- Dokładnie”.

Rocambole już miał kontynuować swoją opowieść, gdy Milon ponownie mu przerwał:

- Mistrzu! Mistrzu! - zawołał przerażonym głosem.
- Co jest?
- Patrz...!

Wtedy Rocambole, otoczony głęboką ciemnością, nagle zobaczył dwa punkty światła, jak świetliki, które właśnie zapaliły się w tej pełnej ciemności, w pewnej odległości od Milona i niego.



Rozdział IX



Jak wiemy, Milon był odważnym człowiekiem, ale Milon jak wszyscy nieco ograniczeni ludzie, chętnie stawiał czoła tylko tym niebezpieczeństwom, których był świadomy. Bał się nieznanego. Czym były te dwa punkty świetlne błyszczące w ciemnościach? Milon zastanawiał się i dlatego się bał.

Rocambole wstał i zrobił kilka kroków do przodu. Dwa punkty światła nie zmieniły miejsca. Następnie Rocambole klasnął dwa razy w dłoń. Nagle dwa punkty świetlne zniknęły.

- Imbecyl! – powiedział Rocambole.
- Co jest? – zapytał Milon, który poczuł, że ucisk w piersi maleje.
- Wiesz, co to jest?
- Nie.
- To kot.
- Jaki jestem głupi! – rzekł Milon.
- A jeśli kot się tu dostał – powiedział Rocambole – to musi być jakieś wyjście.
- Tak myślisz?
- Do licha, tak! I wyjście, przez które możemy się wydostać.
- Chyba że kot został uwięziony w tym samym czasie co my – powiedział Milon.
- To niemożliwe.
- Dlaczego? – zapytał Milon.
- Ponieważ zobaczylibyśmy go wcześniej.
- Ach, to prawda!
- A poza tym – kontynuował Rocambole – jak można się spodziewać, że kot był w podziemiach?
- Przecież my tu jesteśmy!
- Tak, ponieważ znaleźliśmy wejście, które było zamurowane przez wiele lat.
- Więc...

– Wyjaśnię ci, co musiało się stać.
– Słucham – powiedział Milon.
– Ten kot, kiedy nastąpiła eksplozja, był w jakiejś piwnicy nad nami.
– Dobrze!
– Wybuch musiał spowodować jakąś szczelinę, jakieś zawalenie, które umożliwiło mu zejście tutaj, bez wątpienia w wyniku gwałtownego przerażenia, którego doświadczył.

– Ach, to możliwe.
– Więc – kontynuował Rocambole – zobaczymy, czy nie możemy pójść drogą, którą on przyszedł.

Mówiąc te słowa mistrz ponownie zapalił pochodnię.
– Teraz szukajmy – powiedział i zaczął badać ich ciasne więzienie. Jak wiemy, galerię zamykały dwa bloki. Rocambole ruszył w kierunku tego, który znajdował się za nimi. To właśnie w tym kierunku zniknęły dwa punkty światła.

Skała stanowiła rodzaj występu, na którym kot niewątpliwie się zatrzymał. Rocambole wspiął się na tę półkę, a następnie podniósł głowę. Wtedy zobaczył ziejącą dziurę w sklepieniu galerii.

– Wespnij się – powiedział do Milona.
Milon dotarł do półki.
– Weź pochodnię – powiedział ponownie Rocambole. – Za chwilę mi ją przekażesz.

Wspiął się na ramiona kolosa z lekkością klauna, a połowa jego ciała zniknęła w otworze.

– A teraz podaj mi pochodnię – powiedział ponownie.
Milon usłuchał.
Rocambole spojrzał ponad swoją głowę, a potem przed siebie. Przed nim znajdował się nowy wykop, ciągnący się w tym samym kierunku co galeria.

– Trzymaj się mocno! – krzyknął do Milona i rzucił przed siebie pochodnię.

Następnie, trzymając się półki skalnej, odepchnął się piętami od ramion Milona, by nabrać rozpędu.

Po chwili znalazł się w wyższym wykopie.

Pochodnia nie zgasała podczas upadku. Rocambole podniósł ją.

– Poczekaj na mnie – rzekł do Milona – wyruszam na rekonesans.

Ruszył przed siebie, stąpając ostrożnie i patrząc pod nogi. Wystarczyła mu sekunda, aby zorientować się, gdzie się znajduje. Znajdował się w jednej z tych długich piwnic, które londyńscy browarnicy mają nad brzegiem Tamizy. Podłoga tej piwnicy zawałiła się w momencie eksplozji, a szczelina, przez którą właśnie przeszedł Rocambole, z pewnością wcześniej nie istniała. Było nawet prawdopodobne, że piwowar, który był właścicielem piwnicy, nie miał pojęcia, że jest ona zbudowana na na podziemnym przejściu.

Rocambole powrócił tą samą drogą. Następnie usiadł na krawędzi szczeliny i pozwolił zwisać nogom.

– Użyj mojej stopy – powiedział do Milona – i wdrap się na górę.

Olbrzym, który pozostał nieruchomo na skalnej półce, chwycił jedną z nóg i Rocambole podciągnął go do góry, pokazując siłę mięśni, którą ukrywał pod swoim delikatnym i niemal wątłym wyglądem.

Gdy Milon znalazł się obok niego, Rocambole powiedział:

– A teraz chodźmy naprzód, w końcu znajdziemy jakieś drzwi.

Piwnica tworzyła wąską kiszkę. Po kilku krokach znaleźli rząd beczek.

– Chodźmy dalej – powiedział Rocambole.

– Poczekaj – powiedział Milon.

– Co jest?

– Słyszę głuchy hałas...

Rocambole zatrzymał się.

– Tak, to Tamiza – stwierdził.

Ruszyli dalej, przechodząc między dwoma rzędami beczek; wkrótce odetchnęli żywszym powietrzem i zdali sobie sprawę, że dolatuje ono z zewnątrz.

Kiszka lekko się zakrzywiała.

Nagle Rocambole zobaczył przed sobą niewyraźny, blady blask.

– Widzę niebo – powiedział – a przynajmniej mgłę.

Poszli dalej. Wtedy Rocambole zgasił pochodnię.

– Co robisz, mistrzu? – zapytał Milon.

– Jestem ostrożny – odparł Rocambole.

– Ach!

– Jesteśmy w piwnicy używanej jako magazyn.

– Zgoda!

– A ta piwnica ma otwarte drzwi, które widać przed nami na trzydzieści kroków, przez które można zobaczyć niebo.

– No i...?

– Cóż, nie potrzebujemy już pochodni, a nie trzeba, by nas dostrzegli z zewnątrz.

– To prawda

Rocambole szedł dalej.

W końcu doszli do drzwi, których oba skrzydła były otwarte. Kilka promieni przeciskało się tu i ówdzie przez mgłę. Poniżej szumiała Tamiza. Rocambole zatrzymał się na progu i powiedział:

– Te drzwi to właściwie okno.

– Coś takiego! Zgadza się – powiedział Milon.

Rzeczywiście, można było zobaczyć ziemię dwadzieścia stóp poniżej i poza Tamizą.

Drzwi do piwnicy były w rzeczywistości oknem na pierwszym piętrze domu, którego fundamenty znajdowały się na poziomie koryta rzeki.

London City nie ma nabrzeży. Podczas odpływu Tamiza pozostawia otwartą przestrzeń o szerokości od dziesięciu do piętnastu stóp. Podczas przypływu zakrywa tę przestrzeń i uderza o ściany domów, z których większość została przekształcona w magazyny.

– Co robimy? – zapytał Milon.

– Jeśli chcesz skrócić sobie kark, wystarczy, że stąd skoczysz.

– Ale – powiedział kolos – jeśli dobrze poszukamy, może znajdziemy linę.

– Po co? – zapytał Rocambole.

– Ależ...

– Która godzina?

Milon miał swój zegarek, niezły repetier². Sprawił, że wydzwonił godzinę.

– Trzecia rano – powiedział.

– Otóż za godzinę – powiedział Rocambole – zacznie się przypływ.

– Tak sądzisz?

– Woda podejdzie do podnóża domu, a wtedy my rzucimy się do niej.

² *Repetier* – dawniej zegarek kieszonkowy z mechanizmem wydzwaniającym godziny, kwadranse, a nawet minuty.



*Olbrzym, który pozostał nieruchomo na skalnej półce,
chwycił jedną z nóg i Rocambole podciągnął go do góry.*

Milon westchnął. Ta ostatnia godzina, która dzieliła go od wolności, wydawała mu się długa. Rocambole uśmiechał się.

– Wcześniej – powiedział – byliśmy uwięzieni w podziemnej piwnicy z perspektywą śmierci głodowej. Teraz jesteśmy na skraju wolności, wdychając świeże powietrze, a ty nie jesteś zadowolony.

– Masz rację, mistrzu – powiedział Milon. – Jestem bydlakiem!

– I żeby czas ci się nie dłużył – dodał Rocambole – będę kontynuował moją opowieść.

– Zdradzisz mi sekret męża Betsy-Justice?

– Nie, jeszcze nie teraz.

– Ach!

– Najpierw opowiem ci o jego egzekucji.

– Więc byłeś przy niej?

– Oczywiście.

Rocambole usiadł na krawędzi okna otwierającego się na Tamizę, której wody, popychane przyływem, zaczynały się podnosić...



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!

